

Wychowywałem się wśród ludzi mówiących. Moi rodzice byli nauczycielami, ich rodzice też. Dla mnie wszyscy rodzice byli nauczycielami, zresztą tak po trosze pewnie jest. Byli nauczycielami wiejskimi, uczyli wszystkiego. Wszystko wiedzieli. Ojciec na ogół wiedział, że wie, co budowało jego autorytet, matka nie była pewna, co też budowało autorytet. Matka lubiła i umiała mówić – pod warunkiem, że słuchały jej tylko bliskie osoby. Była świetnym mówcą prywatnym. Podobnie jej matka, moja babka. Ojciec publicznie mówił znakomicie. Trafnie, mądrze i dowcipnie, zwłaszcza kiedy go dobrze słuchano. Prywatnie mówił mniej, a były osoby, do których nie mówił.

Jego ojciec, mój dziadek, prawie w ogóle nic nie mówił, posługiwał się tylko groźnymi (dla mnie) monosylabami. Przez to się go bałem i niezwykle szanowałem. Ale był nauczycielem, podobno dobrym, więc pewnie mówił wtedy, kiedy było trzeba. Jego drugi syn, mój stryj, był księdzem. Miał dobre kazania, a prywatnie był jednym z najdowcipniejszych ludzi, jakich znałem.

Byłem (ciągle jestem) dzieckiem wiejskich nauczycieli. To był przywilej, ale i obciążenie. Gdybym był jako dziecko duży i silny, gdybym się źle uczył, miałbym może jakiś mir u kolegów, mimo że byłem dzieckiem nauczycieli. Ale byłem mały i słaby, a do tego (a może przez to?) dobrze się uczyłem. Miałem kompleksy wynikające z odrzucania. Dlatego tak mi zależało, żeby się podobać.

Podobało się innym, zwłaszcza dorosłym, także ojcu (matce mniej), kiedy się podobałem przez mówienie. Mówiłem różne rzeczy od dzieciństwa. Najczęściej recytowałem wiersze. Na

szkolnych akademiach zawsze i chętnie. Kiedyś, gdy zaniemogła koleżanka od okolicznościowego wiersza, na akademii z okazji rocznicy rewolucji październikowej powiedziałem Redutę Orдона, co było moim pierwszym (i jedynym z ostatnich) aktem sprzeciwu wobec reżimu komunistycznego.

Cieszyłem się, kiedy dawano mi mówić, ale tylko w świecie dorosłych. Wobec rówieśników, dużo silniejszych ode mnie, a więc dużo mądrzejszych, byłem niepewny i skrępowany. Nie wiedziałem, co trzeba mówić. Niezdarnie kłąłem, żeby się przypodobać. Nie umiałem mówić gwarą, chociaż próbowałem.

Odbijałem sobie w szkole, gdzie byłem przełożony. Odbijałem sobie na młodszej siostrze, którą wprowadzałem w językowe rytuały i wymuszenia. Tworzyłem systemy zaklęć, którym ochoczo ulegała, a nawet przejawiała własną inwencję.

Słowa mnie zajmowały. Podobno jako trzylatek biegałem wokół stołu, wykrzykując świeżo poznane słowo „cycek”. Gdy moja kuzynka mnie skarciła, zapytałem naiwnie, co mogę wykrzykiwać, biegając wokół stołu. Podsunęła mi dwa pierwsze z brzegu wyrazy, „kartofelek” i „różyczka”. Jak głupi, wykrzykiwałem je z równym entuzjazmem. Pewnie chodziło o to, żeby wykrzykiwać. O *Obywatelu Kane* nie mogłem jeszcze wtedy słyszeć.

Z polskiego byłem oczywiście najlepszy. Nie robiłem błędów ortograficznych i pisałem najlepsze wypracowania. Wszystko czytałem, co trzeba. Miałem takie przymusowe działanie, żeby

czytać całe książki. Jeśli opuściłbym jakąś literę, nie liczyłoby się. Pamiętam, jak czytałem jako dziesięciolatek *Quo vadis*.

To była straszna męczarnia, czytałem po parę razy każdą stronę, a potem wracałem, bo przecież mogłem coś przeoczyć. Do dziś uważam, że to jedna z najlepiej napisanych po polsku książek. Znam jej fragmenty na pamięć.

Wiedziałem chyba od początku, że najlepszą polską książką jest *Pan Tadeusz*. Czytałem go w kółko od wczesnego dzieciństwa i uczyłem się na pamięć. Efekt jest taki, że nie tylko znam go w większości na pamięć do dziś (nawet chyba coraz więcej i lepiej, bo ciągle go czytam), ale jeszcze zbieram jego egzemplarze i mam jeden z największych zbiorów w Polsce. Na świecie oczywiście też.

Kiedy miałem piętnaście lat, mierzyłem może metr pięćdziesiąt. Przeziębłem się wtedy i wstałem z choroby za wcześnie. Grali western w kinie, bardzo się spieszyłem, biegłem i spoićłem się. Ale zatrzymał mnie pan Jankowski, przyjaciel rodziców, i musiałem z nim porozmawiać. Wiał wiatr i zziąbłem. Następnego dnia położyłem się, jak się potem okazało – na parę miesięcy. Dostałem zapalenia stawów. Miałem w domu komplet dzieł Słowackiego. Przeczytałem wszystko, od deski do deski, z odmianami tekstu. Niewiele zrozumiałem, ale miałem poczucie czegoś ważnego. Po paru miesiącach leżenia osiągnąłem swój obecny wzrost – metr sześćdziesiąt osiem (ale mówiłem zawsze, że dziewięć). I po-

lubilem serdecznie Słowackiego. Byłem nastrojony romantycznie. Do dziś jestem.

I romantycy rzeczywiście mają udział w moim języku. Częściej ironiczno-zabawowi, z *Pana Tadeusza* i *Beniowskiego*, z autotematycznych żartów – niż podnieśli. Jakkolwiek mam głęboką świadomość, że język jest tym, co nam dane najbardziej poważnie, co jest najprawdziwsze, bo nie podlega kwestii, to wiem też, że jego prawdziwość najbardziej ujawnia się w jego operacyjnej możliwości tak potwierdzania, jak zaprzeczania, tak mówienia serio, jak ironizowania, tak przekazywania prawdy, jak kłamania. Język jest dla świata, ale jest ponad niego. Najwyraźniej to widać wtedy, gdy jego użycie wiąże się z żartem, dowcipem, zwłaszcza językowym – w każdym razie z dystansem do świata. A także z dystansem do samego językowego opisywania świata. Dlatego oprócz ironicznych romantyków wchłaniałem humorystycznego Sienkiewicza z Trylogii, groteskowego Gombrowicza z *Trans-Atlantyku* i *Ślubu*, jawnie już dowcipkujących językiem Tuwima, Gałczyńskiego i Brzechwę. Specjalny wpływ na moje mówienie i myślenie językiem miał (i ma) Stefan Themerson, którego uczniem chciałbym być, z jego precyzyjnym i zarazem luźnym stosunkiem do tego, co można by powiedzieć i co trzeba mówić. *Pędrak Wyrzutek* i *Profesor Mmaa*, ale też *Kardynał Pölättö* i *Bayamus* to wprawdzie nie wzorce językowe, ale dobre przyrządy do ostrzenia języka.

Poza większą częścią *Pana Tadeusza* znam na pamięć kilkadziesiąt wierszy Mickiewicza, drugą część *Dziadów* i znaczną część trzeciej, wiele wierszy Słowackiego i wielkie fragmenty jego dramatów, *Maraton* Ujejskiego, niemal w całości *Zemstę* i *Wesele*, wiele Tuwima, w tym



szczególnie przeze mnie ulubione jego tłumaczenie *Słowa o pułku Igora*, mnóstwo *Brzechwy*, *120 przygód Koziołka Matołka* i wiele jeszcze rzeczy, których w tej chwili sobie nie przypominam. Mój syn cieszył się tym jako dziecko. Moja wnuczka dzisiaj już mniej.

Uważam za ważne językowo własne identyfikacje: jak wygląda data mojego urodzenia, jak nazywa się jego miejsce, jak sam się nazywam.

Bardzo mnie bawiło, uważałem to zresztą za specjalnie oryginalne, że moja metrykalna data urodzenia różni się od tej prawdziwej. Urodziłem się 23 maja, a w metryce, a potem w dowodzie osobistym mam zapisaną datę 5 czerwca. Czasem się myślę i zamiast piątki piszę szóstkę, przed chwilą też się tak pomyliłem. Urodziłem się w Ciechanowie, metryka i za nią dowód podają, że w Kobylinie. Ta mała wioska niedaleko Opinogóry nazywa się Kobylin, ale, jak to bywa, lokalnie miała i inną nazwę, mianowicie Kobyolino, i w tej formie funkcjonuje jako miejsce mojego urodzenia. Nie tylko nieprawdziwe, ale jeszcze przekrecone.

Najdawniejsi przyjaciele mówią do mnie raczej „Bralczyk” niż „Jurek”. Nawet żona tak o mnie do nich czasem mówi. Sama mojego nazwiska nie nosi. Twierdzi, że dodałaby sobie do własnego, notabene bardzo oryginalnego, nazwiska „Bralczykowa”, ale „Bralczyk” – nie.

Jestem bardziej przywiązany